



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O TEM I OWEM

PRZEZ

Anastazyę Dziekusińską.

II.

W g ó r z e.

Donosząc w Gazecie Warszawskiej o zgonie hr. Mielżyńskiej z Miłosławia, Kraszewski napisał: „Bóg w chwilach prawdziwego gniewu pozbawia nas istot takich. Gwiazdy schodzą jedna po drugiej. Kto zastąpi tych ludzi? Dłonią może, sercem nigdy!...”

W obec strat takich jedyną pociechą dla społeczeństwa jest nadzieja, pewność raczej, że na miejscu pracowników straconych, którzy strudzeni, do wiecznego udali się spoczynku, staną młodzi, pełni zapału i siły, by snuć dalej tradycję cnót i czynów przekazaną im spuścizną. A tu obok smutnej straty, smutniejsza jeszcze przepowiednia: nie masz ich komu zastąpić—gniewu Bożego to znamie!..

Nieraz dają naszemu stuleciu miano wieku równości i swobody i w rzeczy samej wielkie ludzkość odniosła nabytki w tych obu kierunkach: usunięte zostały niepowrotnie przywileje prawne, które jedne warstwy społeczne wynosiły nad drugie. A jednak są i będą uprzywilejowani — nie prawami wyjątkowymi, lecz wyjątkowymi łaskami losu. Będą zawsze w społeczeństwach bogaci, bądź że bogactwo odziedziczą, bądź że je zdobędą. Będą bogaci, a więc potężni, wiele mogący. Będą zdolni, rozumni, utalentowani, którzy zużywając te dary Boże, wielki wpływ uzyskają na losy kraju, lub na duchowy i umysłowy kierunek ludzi. Będą zawsze synowie i córki dawnych rodów, bogaci czy ubodzy,

którzy skarb pamiątek nadewszystko ceniąc, duchem zechcą sprostać swym ojcom i dziadom i imiona swoje godnie zapisać do dawnych ksiąg swego rodu.

Szafarzami Bożemi nazywa Ewangelia możnych tego świata, i tem jednym słowem tłómaczy wyroki Opatrzności i kreśli dla wybranych prawodawstwo. Ale umysł ludzki nie zawsze ceni pojęcia proste a wyczerpujące, raczej posuwa się do ostateczności, lub ujednastajnia bez miary. I tak dopóki wierzone w słusność przywilejów arystokracji rodowej, odmawiano innym stanom praw im należnych. Gdy wznosząc się do pojęć słuszniejszych w zasadzie postawiono równość ludzi w obec prawa, wyobrażono sobie zarazem, że wraz ze sztucznymi różnicami, upadną wrodzone i konieczne różnice między pojedynczymi ludźmi i warstwami społecznymi, zapominając że nawet harmonia przyrody nie wypływa z jednostajnej czynności składającej ją części, lecz ze współdziałania zgodnego i do jednego zmierzającego celu, najróżnorodniejszych czynników.

Młodej warstw wszelkich wynosi z rodzinnego koła zasady najtrwalsze, pojęcia najbardziej zakorzenione, tradycje sercu drogie, ale gdy na młodzież mniej zamożną wielce wpływa społeczeństwo za pośrednictwem szkoły, w której od lat najmłodszych kształconą bywa często zdala od domowego ogniska, na zamożną nie wywiera ono tak stanowczego wpływu. Synowie rodzin zamożnych, zwykle długo są w domu kształceni, do szkoły uczęszczać zaczynają późno, pozostają w niej krótko i nigdy w niej nie widzą owego umysłowego ogniska, jakim ona jest dla innej, więcej osamotnionej młodzieży. Córek zaś wychowanie zupełne w domowych odbywa się progach.

A tymczasem ogół rodzin zamożnych mniej dba dziś o wychowanie swych dzieci. Niezamożni rodzice, chociaż nieraz nie pojmują całej wagi wychowania i ukształcenia, wiedzą z doświadczenia życiowego, że ukształcenie zapewni byt ich dziecięciu,

że wady charakteru będą dlań zawadą na możolnej drodze życia, a brak woli i wytrwania grozi mu niepowodzeniem. Rodziny zamożne wtedy tylko do wychowania przywiązują wagę należyłą, gdy przejęte chrześcijańskimi zasadami, pojmują ową ewangeliczną sprawiedliwość, wkładającą większe ciężary na silniejsze barki. A wież mamy rodzin poważnie zapatrujących się na życie? Zaprawdę bolesną to jest stroną zawodu pisarza moralisty, że musi stać ustawicznie na straży obyczajów, musi odsłaniać słabości i uchybienia, sąd o nich wydając. Z jakąż radością wyszukiwałby on raczej, cnoty, zdolności i sławił zasługi; ale i przed tem surowym obowiązkiem uchylać się nie godzi.

Wychowanie dzieci zależy głównie od cech znamionujących życie rodzinne, od wartości kobiety—matki i jej zapatrywania się na życie. A gdzież u nas mniej powagi i cnót rodzinnych, więcej lekko-myślności, pomiatania najświętszymi węzłami niż w tych warstwach, które wyższymi się zowią, stoją względnie do ogółu na widowni i gdy z jednej strony znajdują licznych a ślepych naśladowców, z drugiej budzą gorzkie uczucia zawiści i wzgardy.

W rodzinach nieskojarzonych węzłem miłości i szacunku, nie uświęconych wspólną pracą w szlachetnym celu, pamiętających o tradycjach rodowych o tyle tylko, o ile to dumie ich pochlebia, a nie tyle przecież by zaczerpnąć pobudkę do życia zasługi i oprzeć się wpływom niezdrowym, z obczyzny nam przybywającym; w rodzinach, które bogactwem tylko a nie cnotą chcą stać nad innymi; w rodzinach, których wszystkie chwile pochłania życie cześć i próżność, życie światowe w najgorszym tego wyrazu znaczeniu—kobieta nie może zachować uczucia godności, nie może spoteżnić duchem. Przeciwnie maleje tam ona, rozprasza się, słabnie, przestaje wreszcie być istotną matką i przewodniczką swych dzieci.

W możnych rodzinach, po miastach szczególnie mieszkających, rodzice otaczają dzieci mnóstwem bon, nauczycieli, guwernantek, różnych narodowości

dbają o ich powierzchowną ogładę, o pewne błyskotliwe ich ukształcenie, ale rzadko kiedy mają czas pracować nad wpojeniem w umysły młode zasady chrześcijańskich, pojęcia obowiązków ich stanu, rzadko urabiają im charakter siłą woli własnej, rzadko wiedzą, że na tem zasadza się wychowanie, że to największa powinność rodzicielska.

A przecież matka tylko zdolna jest zasadnicze pojęcia wszczyć dziecięciu. Nauczyciele zwykle układają pojedyncze naukowe przedmioty; piastunki, sługi obsypują je podchlebstwem, ukazując bogactwo jako źródło użycia, upoważnienie do samowoli. A nawet gdyby sumienny nauczyciel chciał wykazać takiemu dziecku, że wyższe stanowisko społeczne nie uwalnia od pracy i obowiązków—czy dziecko w innym kierunku urobione nie pomyśli, że człowiek ten sądzi życie z ciasnego jednostronnego punktu widzenia? A często znowu nauczyciel mimowoli zamilknąć musi, widząc jak jaskrawa sprzeczność zachodzi między jego słowami a postępami całej rodziny.

I dziecko rośnie nie widząc innego celu życia nad użycie, nie sprobawawszy za młodu co to jest walka z sobą, lub z zewnętrznymi trudnościami. I można zdziwić się potem, gdy doszedłszy wieku młodzieńczego wybuja w najdziwniejsze wysoki, marnując lub na złe używając tych sił olbrzymich, które Bóg w młodej zawarł piersi, które mogłyby wydołać ciężkiej pracy, mogłyby przenieść srogie bóle życia i jeszcze w grobie błysnąć uśmiechem nadziei.

Inne możliwe rodziny chciałyby ukryć przed dziećmi swą zamożność, aby w dumę nie urosły. Takich domów dzieci zwykle stają bezsilne w obec mienia i powołania swego; nie umiejąc użyć życia, a mienia zachować, i życie marnie im płynie, a mienie nędźnie się roztrwaja.

W takim nieprzypodobaniu młodzieży do czekających ją obowiązków, w takim niepojęciu stanowiska swego i odpowiedzialności, szukać trzeba przyczyny materialnego i moralnego upadku tylu historycznych rodów, na których miejsce wstępują nowe, wznoszące się często zasługą i pracą, które przecież przejmują się słabościami panującymi w wyższych warstwach społecznych, przypuszczających je do swego grona.

Myśliciel przebiegający karty dziejów gotów twierdzić, iż potrzeba stuleci, aby zmiany ważne zostały wprowadzonymi w moralne życie ludzkości. Bliżej się jednak przypatrując pojedynczym społeczeństwom, wnioskując w szczególności ich życie rodzinne i towarzyskie, widzimy, że każde pokolenie a więc niemal każde trzydziestolecie występuje nacechowane wybitnymi, sobie tylko właściwymi cechami. Trudno nieraz oznaczyć chwilę przejściową między dwoma takimi okresami, bo różne bywają przełomu przyczyny: wstrząśnienie społeczne, zmiana w ekonomicznych warunkach życia, idea nowa rzucona między ludzi, osobistość wybitna zjawiająca się na dziejowym widnokręgu i wpływ swój na kraj cały rozposcierająca, — sprowadza ją w niespodziewany sposób. Często po rzuceniu się namietnem w pewnym kierunku, społeczeństwo nie zbierając owoców, których się niesłusznie spodziewało po jednostronnej swej pracy, zniechęcone przerzuca się jeszcze namietniej w przeciwną stronę.

Wśród zmian mniej lub więcej stanowczych, wywołanych temi różnymi przyczynami, charakter życia rodzinnego i towarzyskiego, które tak bardzo oddziaływa na wszystkie inne objawy działalności ludzkiej zależy przeważnie od kobiety. Jakiegokolwiek byłoby postępowanie ojca, dopóki matka godnie odpowiada swemu stanowisku, dopóty nie należy wątpić o rodzinie: godność jej może być zachowana. I wtedy gdy społeczeństwo traci równowagę i szalenie chwytą się jednostronnego kierunku, do kobiety odwołać się należy, do jej serca a zdrowego sądu przemówić i żądać, aby swym wpływem zapanowała nad zaślepiającym ogół szaleństwem.

Niemą dziesiątka lat jak w społeczeństwie naszym zjawiał się kierunek materyalistyczny i wraz z mężczyzną kobiety się niem przyjęły; ale jeżeli materyalizm niebezpiecznym jest dla mężczyzn, dla kobiet jest on stokroć więcej poniżającym i zgubnym. Obowiązkiem mężczyzny jest walczyć o byt materialny i błędzi on tylko gdy w osiągnięciu go widzi cel życia, a nie środek do spełnienia wyższego posłannictwa służący. Ale i ten obłęd uszlachetnia nieraz praca, trud mozolny,

łamanie się z przeciwnościami. U kobiety wyższych warstw społecznych materyalizm, to ubóstwienie użycia. Kobieta w tych kołach nie pracuje dla bytu, a tylko trwoni zasoby przez innych zdobyte.

Dość by kobieta światowa przez chwile wniknęła w siebie, zastanowiła się nad wartością życia, jakie dziś pędzi, nad doniosłością jego następstw, a pewno odzyszcze tyle uczucia godności, uczuje tyle miłości własnej, że zamiast dalszego ubiegania się o hołdy lekkomyślne, zdobywane poniżającym nasładownictwem najniżej upadłych istot, zapragnie zdobyć sobie przyznanie i szacunek ludzi za cenne serce i wyższego umysłu, a wdzięk jej obejścia, urok jaki roztoczy, będzie zewnętrznym odblaskiem wewnętrznych zalet. Zmiana taka, zapewniając jej życie spokojniejsze od dziś wiedzonego wśród burz namietności, lub igraszek intrygi, nie oberze tegoż życia z przyjemności towarzyskich. Wszak i te sędziwe matrony, które z żalem u grobu żegnamy i te siwowłose, które czcigł otaczamy w naszym gronie, były też kiedyś młode, pełne życia i uczucia a chociaż rozrywki ich innymi były, choć odziewało je wyższe godności uczucie a ozdabiała prostota, wierze ich słowom, gdy mówią, że szczerzej szczęśliwe i weselsze były. I dla tego starość ich jest pogodna, otoczona czcią i przywiązaniem, gdy otchłania bólesci musi być starość osamotniona kobiety lekkomyślnej.

Kobieta zamożna do życia towarzyskiego jest powołana. Utrzymywanie go w należytych granicach, ożywienie, łączenie z jego pomocą rozmaitych gron i osób, ułatwienie doń przystępu osobom zasługującym na to przez charakter i umysł bez względu na ich majątkowe położenie i rodowe stosunki, budzenie uznania dla tego, co szlachetne i piękne, wpłcenie do zabawy w mierze właściwej życia umysłowego, oto zadanie kobiety, której dom może być ogniskiem światła bądź w mieście bądź na wsi. Takim duchem ożywione towarzystwo, odnawiając swe siły przypuszczaniem do swego grona wszystkich zasłużonych i uzdolnionych osobistości, nie przesiąknie zbyt znacznie naleciałymi z cudzego świata żywiołami bo przejmowałoby się pomimowoli szlachetnymi tradycjami.

Dopiero gdy kobiety zamożne odzyskają pojęcie swej godności i zajmą właściwe stanowisko społeczne, zostaną też istotnymi matkami i przewodniczkami swych dzieci, dopiero wtedy zobaczymy znowu grono młodej młodzieży, które wzrastając budzić będzie najlepsze dla społeczeństwa nadzieje. Bo taka matka nie będzie chować swych synów w uczuciach pychy i wyniosłości, ani tać przed nimi jakie stanowisko społeczne zajmują, jaka czeka ich zamożność, lecz od lat najmłodszych wpoiwszy w ich serca i umysły zasady chrześcijańskiej moralności wytłumaczy im jakie na nich spływają ważne i piękne obowiązki, żądając zarazem od wszystkich nauczycieli, jakimi ich otoczy, aby ich prowadzili w tym duchu. Majątek, stanowisko wyższe nie będzie dla niej pobudką do pobłażliwego sądzenia ich wad, lub lekceważenia ich niedbalstwa w nabywaniu wiedzy — przeciwnie w imieniu tego majątku i tego stanowiska taka matka zawezwie ich do pracy i wysilenia, bo im większy dług zaciągnięty, tem większe muszą być usiłowania do spłacenia go godnie.

Ukształcenie dawane synowi zastosuje także matka światła do czekających go obowiązków. Zamożność nie tylko pozwala na dłuższą staranniejszą naukę, ale zarazem nie broni tego wszechstronnego humanitarnego wykształcenia, któremu dziś konieczność specjalnego uzdolnienia chlebobójnego, tak często u niebogatyń na przeszkodzie stawia.

W miarę dojrzewania syna umysłu, zwróci matka jego uwagę na arcydzieła literatury i sztuki, wzbudzi podziw w nim dla piękna, wzbudzi uczucie łączności z ogółem, obowiązek pomocy wzajemnej działalności wspólnej, wspomaganie uboższych, a wszystko to sprawi, że chęć używania materialnego straci znaczną część swej siły i powabu.

Gdy młody człowiek dojdzie do lat, w których trzeba mu obrać pewien zawód, albo pewnej gałęzi się poświęcić, przedstawi mu matka jakie są pola, na których obecnie człowiek możny, służący może społeczeństwu, a nie krepując jego wrodzonych zdolności lub upodobań doda, że jakiegokolwiekby było pole pracy obranej, zachowanie odziedziczonego uczucia i znaczne jego użycie, nieprzestanie być dla niego ważną powinnością, do której także należy mu się przysposobić. W ten sposób uchronić go może

matka od nieradności i lenistwa, które obiera bogatych z korzyści, jakie im majątek przynosić powinien i zachowa zarazem od mnożenia próżnych i zbytłych zachcianek, którym największe mienie nie zawsze wystarczy, a na znaczne cele nie już zgola odłożyć się nie da.

Matka, która wpoi takie zasady w serce syna, która nauczy go uczucia obowiązku a umysł jego posili wzniosłym pokarmem nauki, szeroko pojętej, która mu zamożność jako środek a nie cel ukaże, godząc sama ze swobodną powagą, obowiązki rodzinne z towarzyskimi, a nadto znajdzie chwilę na miłosierne czyny, umysłową lub artystyczną pracę, taka matka dozna pociechy z synów swoich, a gdyby ją to szczęście ominąć miało, z czystym sumieniem zamknie powieki, nad jej grobem zaś ozwie się głos ogólnego żalu i niejedno oko łza zajdzie.

Lecz jeżeli takie matki chcemy widzieć u ogniska zamożnych rodów naszych, wtajemniczajmy od młodu dziewczę może w obowiązki jej stanowiska, oświecajmy je pięknymi przykładami, chowając wśród tradycji enót dawnych. Dajmy młodej duszy poznać piękno zawarte w dziełach poetów, mistrzów muzyki i pędzla, aby zamiłowała w piękności wzniosłe proste a nie fałszywego zbytku blaski. Jeśli ją Bóg obdarzył jakimś talentem, jakąś zdolnością, rozwijajmy je do najwyższej możliwej doskonałości, aby wolne chwile których będzie miała niemało, uwolniona od dojmujących biedniejszych kłopotów, mogła zapełnić nie rozrywką płochą, lub beczelowem, czechem zajęciem, lecz pracą dla niej samej zbawienną, pożyteczną dla innych. Zawsze dajmy jej poznać obok piękna sztuki, piękno moralne, ową harmonię pięknych czynów zwykle mniej cenioną przez ludzi lecz płynącą w całej swej świetności do stóp Najwyższego. Gdy dziewczę takie zasmakuje w przyjemnościach umysłowych, w rozkoszach miłosierdzia, w twórczości artystycznej, artystycznej myśli, płochę, samolubne uczucia znikną w jej sercu. Potrafi ona później na czele rodziny godnie spełnić swe zadanie, a gdyby rodziny nie miała, ukocho ludzkość i dla niej żyjąc uczuje się pogodną i szczęśliwą.

Chciałabym wierzyć, że chwila obłędu już mija. Dawniej do zbytku idealisci, dziś przetrzuceni w materyalizm zbyteczny, ockniemy się z ideałami w duszy, gotowi dążyć do ich urzeczywistnienia środkami praktycznymi, jakimi są: praca, cnota, uczciwość, nauka, dla kobiety przede wszystkim godność osobista i miłość tej cnoty czystej, która kobietę do ostatnich chwil jej życia jakąś świętością otaczać powinna.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Pani Strzemboszowa. — Powitanie i przypomnienie. — Gościnne przyjęcie. — Mały obrazek. — Lamus. — Wesele. — Moskorzewski kołysze i choduje piękne pachole. — Panny podziły opiekunkami sierot. — Okres od 1800 do 1818 roku. — Wykształcenie niewiast.

Pani Strzemboszowa po krótkiej naradzie ze Stoliczkową i Justysią, nie biorąc udziału przy stole, zajęła się opatrzeniem wygodnym dla umieszczenia tak miłych gości. Rzeczy ich z karczyni zniesiono, żyda furmana sownie zapłacono, wrócił on co żywo do Łukowa. — Pani Strzemboszowa wybrała na mieszkanie dla obu wojaków murowany *Lamusik* stojący w ogrodzie. Był to stary budynek piętrowy, na dole obszerna izba z kratowanymi oknami i dębowa podłoga, bywała dla nieboszczyka Rzewuskiego ulubioną na wiosnę i lato do późnej prawie jesieni siedzibą: tu sypiał, ażeby wstawać ze wschodem słońca, tu po obiedzie drzemał swobodny od much i komarów.

W godzinę niespełną, już *Lamus* był gotowy na przyjęcie gości; dwa łóżka zasłano białą i świeżą

pościela, otwarto okna, wykadzono świerkową żywicą, ściany przy łóżach obito dywanami, słowem izba ta wyglądała na pańską komnatę.

Cichy dworek, wrzał teraz wesołym gwarem i radośnym śmiechem, w którym brali udział Stólnikowa, Justysia i obaj przyjaciele, a teraz przyszła im do pomocy i pani Strzemboszowa. Bernard za jej przewodem dostał się do pokoiku Justysi. Weszli razem.

— Tu Justysia, (mówiła stryjenka) przemieszkuj, tu się modli, tu lekarstwa dla chorych przyrządza.

Bernard zaledwie obejrzał małą komnatkę, wyrzekł wzruszonym głosem...

— Taki sam pokoik miała na dworze wojewodziny, i tam miała kwiaty i ptaszki, jak tu widzę żółte kanarki!

Strzemboszowa zbliżyła się do ściany przy okienku, a wskazując na mały za szkłem obrazek, otoczony wieńcem świeżych niezapominajek, rzekła...

— Przypatrz się pan temu...

Bernard spojrział: na kawałku białego atlasu już żółtkiego, spłot mały włosów otaczały zeschnięte niezapominajki, pod spłotem napis:

„B. G. 28 maja 1796“.

Porwał ze ściany ten obrazek, a całując z zapamiętem...

— O droga, ukochana pani! to moje cyfry, to moje niezapominajki które Justysi ofiarowałem, to dzień w którym wyznałem że ją kocham i kochać do śmierci będę. A więc, mówił rozrzedziony, byłem w jej pamięci przytomny zawsze i ciągle, chociaż oddalony morzami, tak jak ona w mojej zawsze i wszędzie bo moją Justysię uważałem za swego anioła stróża!

— W dniu 28 maja każdego roku, (odrzekła pani Strzemboszowa), obrazek ten dostawał świeży wieńiec niezapominajek: nabożeństwo odbywało się w naszej parafii solenne, a my wszystkie zanosiłyśmy gorące modły za waszą pomyślność z panem Grzegorzem i powrót szczęśliwy.

W tej chwili wbiegła Justysia do swej komnatki, a widząc obrazek w ręku Głowackiego, pozornie nadąsana, zawołała...

— To nie pięknie, panie Bernardzie, cudze tajemnice wybadywać, a Stryjenka kochana pewnie już wszystko wypowiadała...

— Tak wszystko co do joty powiedziałam, bo człowiek który tak cię kocha wart tego! Bo...

I nie mogąc słowa dalej wymówić w głos załkała pocziwa kobieta. Bernardowi miękło serce... na szczęście stanął na progu Moskorzewski.

— *Saperlot!* wyrzekł z radośnym śmiechem, tu płaczą miasto się weselić. Stryjenko dobrodzieju, proszę o rączkę, pójdziemy sobie w pierwszą parę, ty Bernardzie ze swoją *damą* w drugą, i marsz naprzód obejrzymy naszą kwatę, łaskawie przygotowaną. Do krośset bomb i kartaczy! Czy wiesz! żyd z bryką nam uciekł, rzeczy zabrano, a my jako niewolnicy, chyba ztąd *per pedes apostolorum* pomaszujemy napowrót do Warszawy. Tymczasem niech żyje nasz major!

I całował ręce pani Strzemboszowej, która nieposiadała się z radości.

Był to dzień czwartkowy; w niedzielę wybrano się do blizkiego parafialnego kościoła. Tymczasem w całej okolicy rozbiegła się wiadomość, że na *wójtostwo* przybyli tacy panowie co bili się na końcu świata z murzynami. Wszyscy radzi byli ich poznać—to też gdy się ukazali na nabożeństwie, spojrzenia zgromadzonych, zwróciły się ku nim. U każdego na granatowej czamarce jaśniały dwa krzyże: *Legii Honorowej* i *Virtuti Militari*. Sędziwy proboszcz zbudowany ich pobożnością, gdy mszę całą przekłęczeli przy wielkim ołtarzu, po skończonym nabożeństwie podał im złotą patynę do pocałowania.

Zaproszony na obiad przez Stólnikową z chęcią pośpieszył na wójtowstwo, bo sam był ciekaw poznać bliżej wojaków i usłyszeć co z ich przygód po szerokim świecie.

Pierwszy raz od wielu lat obiad opóźnił się do drugiej godziny, ale trzeba było pani Strzemboszowej przy pomocy Justysi wystąpić na przyjęcie dawnych przyjaciół, księdza proboszcza i kilku zaproszonych krewniaków. Ksiądz proboszcz pierwsze zajmował miejsce u stołu, obok pani Stólnikowa, Stryjenka i Justysia, przy której usiadł Bernard, a Moskorzewski asystował pani Strzemboszowej.

Od pierwszego dnia przybycia na wójtowstwo, nasi wojaczy byli tak przyjęci i ugoszczeni, jakby oddawna stosunki serdecznej przyjaźni łączyły ich z mieszkankami tego dworu. Otwartość, szczerść, serce chętliwie wszystkich, dodawały im swobody i otuchy radośnej! To też gdy się rozbudzili rano w swoim *Lamusiku*, Moskorzewski paląc fajkę, mówił do przyjaciela...

— Mój Bernardzie! tyś się w czepku urodził! Ot! Bóg dobry dał ci kobietę jak anioła, mnie ukarał za moje grzechy i dał mi Brygidkę! *Sapremment* to dyabeł w niewieściach szatach! Ty będziesz szczęśliwy! dla mnie gwiazda moja już zagasła! Ale staro przyjacielu i kolegę nie odpędzicie od swego ogniska, ażeby przy nim ogrzewał swoje kości strudzone...

I fajka wypadła mu z ust, smutnie pochylił głowę, i westchnął boleśnie.

Bernard uściśnął go serdecznie, wzruszony do głębi duszy, jednego wyrazu przemówić nie zdołał.

Słowa Moskorzewskiego spełniły się nie długo w zupełności: Bernard poprowadził pełną powabną wdzięku Justysię do ołtarza. Pan Grzegorz jako pierwszy *Swat* towarzyszył do kościoła, a gdy osiedli państwo młodzi na *wójtowstwie* we dworku Stólnikowej, która całe swoje mienie zapisała Justysi, zbudował sobie swoim kosztem domek drewniany w pobliżu ogrodu, aby się cieszyć szczęściem swych serdecznych przyjaciół.

Panna Brygida, ufna w dawne przysłowie, że:

„Stara miłość nie rdzewieje
I w sto lat znowu roztleje“.

Starła się dawnego wielbiciela do siebie przyciągnąć, ale Moskorzewski ani słyszeć o niej nie chciał.

— Ma psy i koty, niech się z niemi cacka i pieści, odrzekł staremu Abrahamowi z Łukowa, który go namawiał do żeniaczki z tak bogatą panną jak panna Brygida.

Sapremment! Wytarłem jej wspomnienie z pamięci, jak rdzę z pałasza!

W parę lat Bernard cieszył się dorodnym synem: wykarmił go dobrze i zdrowo matka, ale wykolywał Moskorzewski, a gdy chodzić zaczął strugał mu karabinki i szable.

Tego rodzaju podżyły panny jak Justysia, w ogólnym obrazie naszej społeczności (od r. 1807 do 1830) szły zaraz w pierwszym rzędzie po *dziewicach-wdowach*, zjednywając dla siebie tak w gronie kobiet jak i mężczyzn powagę i szacunek. Obejmowały opiekę u pokrewnych wdowców, gdzie zostały dzieci małoletnie, zastępując miejsce zmarłych matek.

Niemarząc już o zmianie stanu swego, zwracały całą miłość swoją, czułą troskliwość, i pracę moźną, ażeby godnie odpowiedzieć powołaniu swemu.

Otoczona gorącym współczuciem i szacunkiem całej rodziny, wiodła młode dziewice, które odechodziły, na stopnie ołtarza, błogosławiąc przed ślubem w imieniu ich matki co spoceła oddawna w grobie.

Ze łzami w oczach, na biały welon panny młodej wkładała rozmarynowy wieńiec, ze sztuką złotą, odrobina cukru, soli i chleba, na który daremnie w wiosnie dni swych oczekiwała, i lubo z rozdartym sercem wszystkie marzenia całego życia kończyła, bez zazdrości przecież dla swej drogiej wychowanki, wznosiła szczerą a pobożną modlitwę za jej pomyślność i stałe szczęście w przyszłości!

Pamiętamy liczny poczet tych szanownych panien *podżytych*, które od wychowanek swoich otrzymywały słodkie imię *matki*, a ich dziatwa nazywała je *kochaną babunią!*

Pragnąc uzupełnić we wszystkich szczegółach wierny obraz okresu pierwszych lat osiemnastu od 1800 zaczynając, musimy baczną uwagę zwrócić i spojrzenie na społeczność niewieścią tego okresu, w nim bowiem stare pokolenie już zdziesiątkowane, w ostatnich swoich szczytkach dogasało, pozostałe z doby panowania Stanisława Augusta, co błyszczały znaczeniem i urodą, wiek sędziwy przysięgał, i wnuczki pierwszych już albo jako *podlotki*, wyglądały na świat ciekawem spojrzeniem, albo też gotowe były do mirtowego wieńca i ślubnej obrączki.

Ale stara atmosfera, była dla ich ducha ożywiająca kapiela, jak dawna tradycja, ze zwyczajem i obyczajem prababek sędziwych, aniołem stróżem

dla nich, od samej kolebki, aż do opuszczenia rodzicielskich progów.

Wiedza ich obejmowała bardzo skromne rozmiary, nauczywszy się czytać, pisać i pierwszych rachunków, które się kończyły na czterech działaniach arytmetycznych, resztę wykształcenia dopełniały nauki matki i poważnych jej krewnych czy przyjaciółek w żywym słowie, a bajki i powieści ludowe stanowiły dostateczny zasilek dla wyobraźni dziecięcej, a nawet panińskiej. Książka z romansem i powieścią rzadko się zabłąkała we dworze ziemiańskim, gdzie całą bibliotekę jak i w poprzednim wieku, stanowiło *Pismo święte*, książki do nabożeństwa, kalendarz, parę kronik i nie odstępny prawie w każdym rodzie herbarz. Pomimo tak małych zasobów dla duchowych potrzeb, życie niewiast polskich jak i dziewic przechodziło najswobodniej, pomiędzy pracą i zajęciem domowym, a w chwilach wolnych wesołą zabawą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wszedł Korczak, ubrany po codziennemu w szarym żupaniku i długich butach, z wesołą jak zawsze twarzą... Miecznikowa nim mówić zaczęła, skinęła nań, aby za drzwi wyjrzał czy sami byli.

— Choć nie złego z czem byśmy się kryć potrzebowali nie przedsiębierzemy, rzekła z uśmiechem— jednakże lepiej ludzi nie kusić i unikać gadaniny niepotrzebnej. Dziś nikt z nas nie wybierze się na przejażdżkę... deszcz leje... miałabym co robić na zamku, ale radabym się do tego wziąć ostrożnie...

Janasz jeszcze o niczem nie wiedział, dała mu Miecznikowa notatkę czytać starą, poszedł z nią do okna...

Pismo było blade i żółtkie, dzień chmurny, nie rychło więc sobie z niem dał radę, ale w miarę jak czytał, lice mu się rozjaśniało.

— Cóż waćpan na to? zapytała Miecznikowa w boki się biorąc.

— Historia ciekawa i osobiwa! wykrzyknął Janasz, ale, pani a dobrodzieju najlaskawsza, jeśli mam cokolwiek wiary i zaufania, na miłość Bożą ostrożnymi być musimy! wszyscy się na to godzą, że Dorszak jest zły człowiek, że cheiwy... Cóżby to dopiero było, gdyby się dowiedział, że mu tu jakie skarby na zamku dobywamy?... Dziś nie bardzośmy bezpieczni, coż gdyby łakomstwo jego podżęgnięte zostało....

Samo szukanie już mu da do myślenia.

— Aleć on tu przecież bez mej wiedzy nie wnijdzie... rzekła pani.

— Zapewne, lecz i ludzie nie dobrze żeby o tem wiedzieli oprócz Nikity, nie żebym im wiary nie dała—mówił Janasz, ale po kieliszku wódki, mimo-woli się języki rozwiązują...

— Masz słusność—roztropny jesteś... Śmiejąc się dorzuciła Miecznikowa.

Jadzia zdaleka spojrziała nań, słysząc tą pochwałę, i, jakby na przekór główką potrząsała.

— Cóż radzisz? spytała starsza pani.

— Najprzód trzeba spenetrować czy jeszcze co jest, bo od tylu lat jak ludzie obcy tu gospodarowali, kto wie czy już dawno miodu nie podebrano... odezwał się Janasz. — W notatce wyraźnie nie stoi nawet, gdzie tego loszku zamurowanego szukać mamy.

— Wczytaj no się lepiej... odezwała się Miecznikowa, u dołu skazówka osobna...

— A! tak! rzekł Janasz cicho decyfrując pismo stare:—Wszedłszy do lochu przed wieżą, po prawej ręce szyć prowadząca do głębszej piwnicy. Na ścianach jej trzy krzyże wydrapane... Z prawej

strony, w środku między dwoma cegła polewana, cyndrówka, którą wyjąć należy...

— Nie mogę, dodał Janasz, nikogo do tej roboty użyć oprócz Nikity... Zawiniemy się tak, aby nas nikt nie widział.

Miecznikowa wskazała ręką na znak zgody; a ks. Żudra przeżegnał odchodzącego.

W sieniach we drzwiach stał znudzony Nikita, z założonemi na piersiach rękami i ziewał. — Korczak go po ramieniu poklepał i dał mu znak, aby z nim szedł...

— Słuchaj, Nikita, mamy we dwóch co do roboty, a no tak, aby ludzie nie widzieli. Weźmij tępa siekiere, młot, kawał żelaza jakiego... i chodź ze mną.

Nikicie oczy zaświeciły i rzucił się ochotczo, męcząc go bezczynnością. Aby nie dawać pozorów, że w lochu czego szukać mają, kazał Janasz butelki, jakie z sobą przywieźli, znieść do niego Nikicie, a w narzędzia się opatrzyć pokrywom. Ludziom na dole stojącym dano hasło, ażeby Dorszaka, jeśliby przyszedł odprowadzić pod jakimkolwiek pozorem i nie wpuszczali do środka...

Zapaliwszy więc światło i pobrawszy kosze, zeszli z wolna do lochu. Drzwi na wszelki przypadek zamknięto za sobą...

Znalazła się zaraz na prawo szyja i piwnica, zarucona potłuczonym szkłem i gruzem...

Podniósłszy światło, acz z trudnością doszedł do ścianie Janasz krzyżów i pomiędzy dwoma owej cegły polewanej, zyndrówki, która się zdała wyszczerbioną. Mur wszakże pod nią i nad nią był nienaruszony i pyłem starym okryty...

— W murze zamurowana skrzynka z papierami i rzeczami—szepnął Janasz, kawał muru wyjąć trzeba, nie czyniąc hałasu...

Nikita ledwie dosłyszawszy, z żwawością człowieka chciwego do roboty, porwał się i żelazem cegłę podważył. Zdało się że nawet na wapnie umocowaną nie była, bo zaraz wyszła i ukazał się otwór za nią. Janasz rękę wsunął i namacał skrzynkę.

— Jest! zawołał z radością, a więc, niema co, musimy tyle cegieł wyjąć, ile trzeba aby skrzynię dobyć.

Nikita tylko głową poruszył i już się brał do roboty... Ale dalej szło trudniej daleko, cegły siedziały jak wkuć i bić je trzeba było, a łamać, aby otwór powiększyć... Nie obeszło się więc bez głuchego w mur pukania.

W piwnicy u góry, czego zrazu nie uważali, było małe okno kraciaste, wychodzące na podwórze od kortyny...

Mało bardzo wpadało niem światła, jednak dało się czuć będącym we środku, że coś ten otwór zasłoniło...

Janasz podniósł głowę i ujrzał przylepioną do krat twarz czerwoną Dorszaka... Trącił Nikitę, który zaraz roboty zaprzestał...

Dorszak złapany na śpięgowie, nie ustępował.

— Co W. mość tam robicie? zawołał z góry...

— Mamy tu co do schowania... rzekł Janasz, trzeba półkę do muru przybić.

— Cheć? cheć? rozśmiał się Podstarość, do schowania! chyba szukacie, czegoście nie zgubili...

I znikł z okna...

Była to przygoda nieszczęśliwa wielce. Nikitę zostawiwszy na dole, Janasz pobiegł sam, zmieszany wielce, do Miecznikowej.

— Stało się, rzekł wchodząc—czego przewidzieć nie było podobna...

— Co? skrzynka zabrana? rozśmiała się ten zmieszana jejmość.

— Ledwie nie gorzej—zaczął Janasz. Skrzynka jest na swem miejscu, pełna czy pusta tego niewiem jeszcze, lecz Dorszak nas z góry przez okno podpatrzył, znać stukanie posłyszawszy.

— Jakbyśmy to u siebie w domu nie byli i swej własności nie odzyskiwali—zawołała p. Zbońska... Więc cóż? niema się co tać...

— Dobrywać? spytał Janaszek...

— To się rozumie, teraz już czynić tajemnicę, stokroć by było gorzej... wrócił więc Korczak do lochu... Zbiegając na dół, we drzwiach dolnych ujrzał stojącego Dorszaka, którego nie wpuszczono...

— Panie Korczak — krzyknął zagniewany Podstarość — czy to ja już za obcego i nieprzyjaciela jestem mianowany, że mi przystęp wzbroniony.

— A czegoż pan życzy sobie?

— To piękne pytanie? jam gospodarz... chcę wnić...

— Ale Miecznikowa w tej chwili widzieć się nie może...

— Ja też niechęć...

— Z kimże pan się widzieć pragnie? pytał Korczak.

— Z tem, co panowie na dole dobywacie — z uśmiechem wtrącił Dorszak.

Janasz ruszył ramionami.

— Niema tam nic ciekawego.

— Ja myślę przeciwnie, kiedy Miecznikowa aż tu jechała umyślnie, ażeby się temu zbliżka przypatrzyć. Bo teraz przyjazd jej rozumiem.

Natępny Dorszak stał we drzwiach.

— Nie rozumiem nic — odparł Janasz — a że czas nie mam, przebacysz mi waszmość.

To rzekłszy, począł wschodkami na dół się spuszczać, a Podstarość widząc, że nic nie utarguje, odszedł gniewny. Janasz zastał Nikitę uznojonego, wyłom w murze znaczny, a przez otwór widną już dosyć skrzynkę, a raczej kufer okuty, pyłem, pleśnią i pajęczynami okryty, którego żelazto ruda rdza było osute. Nie zważając już na to, czy ich kto podpatruje czy nie, podstawiając cegły pod nogi, przystąpili oba do dźwignięcia skrzyni, lecz na dwóch była za ciężka, a przy tem od stania długiego, jakby do muru przyrosła. Musieli więc różnych używać środków do podważenia jej i ściągnięcia na dół powoli.

Nieruchło namęczywszy się i upociwszy, mogli ją wreszcie na ziemi postawić. Antaby pokruszone, drzewo spróchniałe, sypało się wszystko. Na wschody ją dźwigać nie było sposobu, poszedł więc Janasz po panią i na dół ją z Jadwisią sprowadził. Sam zarządził wypróżnienie paru kufrów podróżnych, mając w myśli wydobyć tego, co się w skrzyni znajdowało i przeniesienie na górę.

Kluczków nie było, zamki więc musiano odbijać, ale to łatwo przyszło. Skrzynia wewnątrz okazała się nietkniętą, pełną, a choć wiele rzeczy popsutych było leżeniem długiem, złoto i klejnoty i oręż kosztowny nie ucierpiały wcale.

Miecznikowa rada była niezmiernie. Jadzia ciekawa chwyciła wszystko. Przywłaszczyła sobie różnecie stary i pas równie dawny, który jej matka chętnie oddała. Resztę rzeczy Nikita z Janaszem przenieśli na górę, a pustą skrzynię oczyściwszy do dna, zostawiono w loszku.

W Dorszaku ta myśl, że się tam mogło w lochu coś ukrywać, o czem on przez lat tyle nic nie wiedział, że on tu strzegł cudzego skarbu, który tak łatwo sobie mógł przyswoić, czyniła wrażenie niewysłowione. Na samą tę myśl burzył się z gniewu i zębami zgrzytał. Rozumiał teraz w istocie, dlaczego to Miecznikowa przybyła i nie mógł sobie przebaczyć, że nigdy po zamku ani w lochach nie szukał nic.

Gdy pod wrażeniem tego nieszczęścia wszedł do izby, w której żona jego coś dla rozrywki siedząc w oknie wyszywała, poznała zaraz, iż mu się coś stać musiało. Żeby miał obnażone z pod warg podniesionych, oczy jakby z powiek wyskakiwały, ręce drżały.

— Złodzieje! — zawołał w progu — zbójcy.

I stanął.

— Kto? gdzie? — zapytała żona.

— A ta baba i ze swoim dworem przeklęty! Ho! nie głupia i nie darmo się tu wlekła. Teraz już wszystko wiem.

Choć nie zwykł się nigdy był przed żoną wynurzać, tym razem tak był poruszony, że się wstrzymać nie mógł. Chodził po izbie i mówił jakby sam do siebie:

— Doszli że tu był skarb zamurowany na zamku! Któż się tego mógł domyśleć. Przyszli jak po swoje i wydarli mi go. Tam, w lochu...

Żona podniosłszy oczy słuchała ciekawie.

— Gdzie? jak?

— Słysz — mówił Dorszak — coś bije pod ziemią, wali, jakby mury tłukło. Chodziłem właśnie oglądać baszty i kurtyny, zazieram do lochu z kądem sztuki dochoodzi, a tam Nikita z tym młokosem mur łamie i dziurę wybija...

— A z kądem że wiesz, na co oni to robili?

— Z kądem! hm! Jam tu dawno o skarbie przez starostę zamurowanym słyszał, alem się śmiał jak z babskiej bajki, kat mógł się domyśleć... Miałem

tyle lat czasu, mogłem wszystkie mury powybić... ale kiedy komu nieszczęści się, to się już nie wiedzie w niczem...

Zasłaniał się dziko.

— Z przed nosa mi moją własność wydzierają.

— Twoja! — szydersko spytała żona.

— Tak, moja, moja, bo tu wszystko moje — zakrzyczał Dorszak — słyszysz ty, babo, młecz... Moje! jam tu pan, nie oni. Ich królowanie krótkie... nie dam im ztąd wywieźć nic.

Opamiętawszy się skończył mručeniem, kilka razy spotkał wejrzenie kobiety i zamilkł. Złość całą w sobie stłumił.

Począł wołać Tatiany. Weszła owa otyła kobieta, ocierając się fartuchem.

— Słyszysz — rzekł — odziej mi się zaraz, weź owoców, miodu na talerz i nieś do Miecznikowej na górę. Ale żebyś mi oko miała na wszystko co robisz, co na stole leży? Jeśli podsłuchasz co gadają, tem lepiej... rozumiesz? powracaj mi zaraz.

Tatiana znikła, bo jej poselstwo, za które mogła otrzymać podarek, było pożądanem. Dorszak wziął się do cybucha i fajki. Żona szyla w milczeniu. Nie spojrzał już nawet na nią.

Dobre pół godziny upłynęło, nim Tatiana, odziana od święta, w spódnicy z galonami, w chustce na głowie, w fartuchu białym, w koralach, stanęła znowu w progu. Dorszak się podniósł.

— A co? — zawołał.

Tatiana głową kiwać poczęła.

— Co ja tam widziałam! — rzekła, ręką biorąc się za twarz — co ja tam widziałam! Oni mnie się nie spodziewali, drzwi były odemknięte, aż wezdrżnęli gdy weszłam. Zaraz pani dała mi dwa tyńfy i odprawiała, ale mnie dosyć było rzucić okiem. A panie! paneczku! oni z sobą skarby świata tu przywieźli... pełne skrzynie złota.

— A co? — krzyknął Dorszak — a co? nie mówię... kroć sto tysięcy.

— Cicho! — podchwyciła żona.

— Ty młecz! — zawrzasł pięść podnosząc Podstarość. — Mów Tatiano.

— Albo to ja potrafię — jęknęła kobieta, ciągle głową kołysząc i trzymając się ręką pod brodę — tyle wiem, że klejnotów i złota stoły pełne i skrzynki. Jejmość, panna jej, ksiądz i ten młody grzebali się w tem. Jakim weszłam, to gdyby złodzieje na uczynku schwytani się zmieszali, to też mnie odprawili wnet, żem i dobrze widzieć nie mogła.

— A no, dosyć — zawołał Dorszak — ja już wiem swoje i będę teraz myślał co począć.

Agafia nagle przestała szyć, chustka jej i ręce na kolana opadły, piękna twarz przybrała wyraz głębokiego zamyslenia, w okno zwróciła oczy, i jak martwa, bez drgnienia pozostała czas jakiś zatopiona w zadumie.

Dorszak chodził po izbie, posłyszawszy szelest jej sukni, gdy nareszcie wstać chciała i stanął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOLONISTA W IRLANDYI

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Pawła Heise

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

AKT IV.

Scena I.

(Noc.—Izba w domu Jakuba Bodenmesser, troje drzwi: z lewej, prawej strony i w głębi. Na ścianie duży zegar, w kącie strzelba, na prawo odedrzwi okno)

JAKUB (wchodzi ze światłem z alkierza po prawej stronie)

Czy wiatr, czy starość, czy coś dziwnego spać mi dziś nie daje. Tęskność mnie jakaś szarpie, rozbie-

ra mnie jakiś żal, czy może choroba. Tak, nieza-
wodnie będę chory.... Sypiałem dobrze w gorszych
niżeli dziś czasach, gdy psy — wietrzac w koło do-
mu obcych — wyły, gdy gwizdania zbójców rozlega-
ły się w powietrzu. Spałem gdy mi wykradano
mój dobytek, rabowano ciężką pracę moją, a skoro
rano zbudziwszy się spostrzegłem, że mi uprowa-
dzono najlepszą sztukę z owczarni, kłamię to prawo
natury, przez które człowiek pracujący sypia twar-
do jak kamień. A teraz gdy już zaczyna być ciszej
w okolicy, gdy rabusie mniej zuchwale gospodaru-
ją, sen odbiegł nagle i czuwać oto jak strażnik
w mieście obłożonym.

A czy nie jest to przestroga czasem, przecucie?
Może to ziomek mój niepomszczony woła z krwawej
mogily swojej: teraz, druha stary, kolej na ciebie?
Jestem Panie! gotowy na głos wezwania twojego....
Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi, cho-
ciaż byłbym chciał ostać się jeszcze dopóty na tem
padole utrapienia, dopóki dziecko moje nie będzie
już w rękę opiekuna i przyjaciela wiernego. Ale,
Panie, nasze życzenia głupstwem są w obliczu mą-
drości Twojej....

(Po chwili milczenia)

Powinno było ulżyć mi tu trochę, gdzie piersi
mają oddechu do woli, gdzie serce czuje, że z każdej
strony (pokazuje drzwi z dwóch stron) ma co naj-
bliższe skarby swoje.... Ale nie.... piersi coś tłoczy,
jak gdybym był zamknięty w bani szklanej i nie
tehu schwycić....

Gdyby dzień był już blisko, wyszedłbym trochę
na powietrze, w pole i ochłodził sobie czoło. (Po-
stępuje ku zegarowi) A to co?... stoi! Stał na
wpół do dwunastej i nie słyszałem też, aby bił go-
dzinę. Stary towarzyszu, czyś i ty już się zmęczył
pracą? Czy nie chcesz już liczyć godzin i minut
tym istotom płochym, które chociaż noszą w sobie
nieśmiertelnego ducha, nigdy nie mogą użyć spo-
kojnej, swobodnej chwili czasu? Czy może proch-
ziemi wcisnął się między koła twoje i nie może dla-
tego mierzyć wieczności?... (Słychać ciche pukanie
do okna).

Kto tam puka tak późno, czy raczej tak wcześnie?
Czyż kto zbłąkany szuka schronienia? Zaliżby dla
tego Pan kazał mi czuwać? (Pukanie staje się gło-
śniejsze) Zaraz, zaraz.... Kto tam i czego po-
trzebuje?

ADAM (za oknem)

Ja ojcze.... otwórzcie drzwi. O! otwórzcie pręd-
ko, muszę rozmówić się z wami.

JAKUB

Adam! Czy to ty Adamie?... ty wśród nocy!...
(Otwiera).

ADAM (wchodząc żywo)

Czy Hanna jest w domu?

JAKUB

Czy jest w domu? A gdzieżby o tym czasie być
mogła.

ADAM

Czy ojcze jesteś tego pewien? Czy jest w domu
niewątpliwie?

JAKUB (z podziwieniem)

Śpi w alkierzu swoim. Gdy odśpiewaliśmy jak
należy pieśń wieczorną, pocałowała rękę ojcowską,
rękę matczyną i poszła spać. Czy chcesz od niej
czego? Czy miałeś może o niej jakiś sen niedobry.

ADAM (z goryczą)

Aby mieć sen, trzeba spać, a ja teraz nie śpię
żgoła....

JAKUB

To źle mój synu, starzy nieraz czuwać muszą, ale
młoda krew powinna mieć wypoczynek, aby się nie
burzyła. Powiedz mi prawdę, czy może przeska-
dza ci krwawy cień niepomszczonego w grobie swo-
im ojca; czy myślisz za wiele o tem, co odwiec trze-
ba było, aby młoda oblubienica nie weszła pod dach
świeżej żaloby.

ADAM (z wgnębieniem)

Nie, o tem nie myślę już więcej, a raczej myślę
o tem w żalu, w goryczy, w utrapieniu ducha bole-
snem. Ojcze, Hanna nie ma serca do mnie.... Nie
dała mi nigdy dobrego słowa, słodkiego spojrzenia,
nie rozśmiała się do mnie nigdy.... Ona, ojcze, ma
innego kochanka.... O! nie spodziewacie się kogo...
Gach, którego kocha, to.... to James Hennessey.

JAKUB (poważnie)

Mój synu, to nie może być prawdą. Zazdrość
obłąkała cię fałszywie.

ADAM

Nie może być.... powiadacie. A czy nie jest co-
dzień blejsza, cichsza, smutniejsza od czasu jak
uciekał w góry do zbójców? Czy nie staje cała
w płomieniach, gdy kto wspomnie o nim. Wy te-
go nie wiecie, ale ja wiem, o wiem jeszcze więcej....
Dziś rano patrzyłem na nią z zapłotą, gdy szła do
ogrodu po trawę, ale ledwo, że tknęła sierp, aż tu
z krzaka wychyla się człowiek, zbój.... Janek Czer-
wony! Nie przeleżała go się jednak, nie krzyknęła,
nie uciekła. Cisnęła sierp i skoczyła ku niemu, a on
się zaśmiał do niej. Dał jej pióro orle, które miał
w rękę mówiąc, że choć ptak taki leci wysoko, ale
tęskni za gniazdem i chce go ślać. Wzięła je ojcze,
a on poszedł gwizdząc.... Teraz wiesz, dla czego
spać nie mogę....

JAKUB (walcząc ze wzruszeniem)

Mój synu, mój synu.... (Chwyta go za rękę) Mój
synu!....

ADAM

Nie spałem, patrzyłem w czarną noc i dręczyła
mnie boleść, aż nagle widzę z za węgla waszego do-
mu wymyka się kobieta.... Szła ścieszką na Car-
rick-o-Gunnel, zawołałem w rozpacz: Hanno! i obej-
rzała się....

JAKUB

Cicho! (Chwyta ze stołu świecę i idzie do al-
kierza na lewo, z kądem wraca za chwilę śmiertelnie
blady. Odpycha ręką Adama, który przechodzi ku
niemu i idzie w kąt do strzelby. Przechodząc koło
zegara staje) Która godzina może być teraz?

ADAM

Już po północy.

JAKUB (chce nastawić zegar, ale nagle cofa rękę)

Nie, stary druha, nie wzruszę cię, nie bój się....
Może jest w tobie duch taki, który ucieka, gdy czy-
stość się brudzi.... (Idzie ku strzelbie i opatruje
zamek).

ADAM

Ojcze! ojcze! to twoje jedyne dziecko, istota słaba:
kobieta!....

JAKUB (ogląda stę na niego, jak gdyby dopiero
co spostrzegł jego obecność, słucha, potem odsuwa
go ręką ze swojej drogi)

Idź do domu....

ADAM

Ojcze, nogi drżą pod wami. Niech ja pójde sam....

JAKUB (groźnie)

Nie pójdziesz wcale. Nie masz prawa podglądać
mej hańby....

ELŻBIETA (z alkierza prawej strony)

Czy to ty, Jakukie? Co tam robisz po nocy?

JAKUB (łagodnie)

Nie, nie.... Wilk porwał nam jagnię i idę odbić
je. Śpij matko.... (Idzie ku drzwiom, Adam znów
zastępuje mu drogę).

ADAM

Nie puszcze was, ojcze, samego, nie puszcze. Gdy
nie dacie iść razem, pójde za wami....

JAKUB (patrzy na niego chwilę)

No, dobrze, chodź.... Chodź zemną, jeżeli zdążysz
tak się spieszyć jak boleść rodzicielska.... (Wychodzą
razem).

Scena II.

(Nizkie, sklepione podziemie w ruinach Carrick-o-Gunnel. Palące się drzazgi zatkniętego w rozpadlinach
ścian łuczywa, oświeca ją część ciągnącego się w dal
lochu; w jednym jego załomie głęboka framuga i drzwi.
W głębi widać kilka grup spiacych góralskich, oraz stos
broni i zwałonych razem guń góralskich. Obraz nie
przedstawia nigdzie śladu bogatych łupów, wszędzie
surowa prostota ubóstwa. Na boku pod ścianą owi-
nięty w płaszcz Francuz podróżnik spi na skurach
owczych; u ogniska Czerwony Janek, Patryk, Murphy
i kilku innych grają szelengiem w cetno i lichu. Na
przodzie sceny siedzi na pieńku drzewa zamysłony
James Hennessey, oparty ręką o stojącą beczkę).

JANEK (śpiewa)

— Idź sobie! mówi dziewczyna
Świtem poranka;
Ale wieczorem wdychać zaczyna
Do Jasia kochanka!...

PATRYK

Naści szylling, ciskaj.... Oj źle!.... czy ci Szwab
zaszedł dziś drogę. Teraz na Jędrka kolej. Ale ten
już śpi, łyknał za wiele.... (Wstrząsa za ramię mło-
dego góralszyka, który przeciera oczy).

JAMES

Janku!.... (po chwili) proszę cię Janku....

JANEK

Słyszę.... słyszę.... Czego chcesz, kapitanie? Sie-
dzisz sam jak kogutek na kościele.... Kładź się
i śpij, albo graj i pij.... to reguła. Skosztuj bracie
kropelkę kordyału. (Przynosi fiaskę wódki od gra-
jących i stawia przed Jamesem) Uczciwa, katolicka
Whisky. Święci w niebie lepszej nie mają. Łykaj
bracie na animusz....

JAMES

Chciałbym z tobą pomówić rozsądnie. (Po chwil-
ce przestanku) Czy ci nie nie powiedziała, czy nie
powiedziała ani słowa?

JANEK

Kto?... Szwabka.... Wiesz już przecie. Ani pi-
snęła, a jednak powiedziała: Niech lubcio czeka....
Zwyczajnie dziewczyna....

JAMES

Skinęła głową?

JANEK

Głową, okiem, uchem. Paliła się jak jasna świe-
ca. Nie bój się, przyjdzie! Znam dziewczyny....

— Idź sobie! mówi dziewczyna
Świtem poranka,
Ale wieczorem wdychać zaczyna....

JAMES (gniewnie)

Słuchaj mnie, czasy są nie do śpiewu.... Jutro ra-
no wyruszymy ztąd, pociągniemy na północ, w góry
i tylko kilku zostanie tu na posterunku. Francuzi
wylądują za dni kilka, trzeba się więc grupować.
Tu jesteśmy rozproszeni na pojedyncze pocztę i pro-
wadzimy złe, nieszczęśliwe, psujące nas życie—psie
życie! W górach się skupimy.

JANEK (marszcząc brwi)

Skupimy się.... A na co się mamy skupiać? I tak
coraz trudniej o dobry łyk, o owcę na polu.

JAMES

Trzeba.... Tu nie chodzi o nas.... Przytem nie
bylibyśmy tu długo bezpieczni: parlament wysłał
wojska, ale gruzy to nie twierdza.... Nie uchronią

od nieprzyjaciela i potrzeba nam gór już rzeczywistych a nie takich skalistych podgórz, jarów, wąwozów głębokich, turni niedostępnych....

JANEK

A kto nas tu znajdzie?

JAMES

A kto znajdzie lisa w norze? Ale, powtarzam, tu nie o nas głównie chodzi. Muszę teraz wyjść, a ty powiedz braci, aby się uciszyli i poszli spać. Trzeba im być wypoczętymi na jutro, trzeba mieć świeże siły do szybkiego pochodu. (Chce odejść).

JANEK (*zatrzymując go*)

Słuchajno Dżemsie. Ludziom się to nie podoba.

JAMES (*surowo*)

Musi się podobać.... To nie zabawka. (Spokojnie) Skoro się Francuz obudzi, wytłumaczy wam także, że rzecz jest konieczną.... A jak już późno? Czy kury piałły?

JANEK (*wyciąga z zanadru zegarek*)

A psia wiara Sakson jak mnie oszwabił! Maszyna ani cyknie.... Bestya kramarz, tak desperował, gdym mu do kieszeni sięgał.... tak ręce składał, jak gdybym mu brał co najlepszego....

JAMES (*z wyrzutem*)

Więc znów Janku postąpiłeś po dawnemu, znów dałeś rację szkalowaniu, które nas czerni. Czemże więc są moje słowa, moje prośby, moje rozkazy? (Surowiej) A moje rozkazy muszą być słuchane, wypełniane — muszą!.... Inaczej moja władza nad wami nie nie znaczy i niema żadnej władzy, żadnej karności.... Jesteśmy prostą bandą opryszków, jesteśmy rabusiami....

JANEN

Eh! bracie.... Toż się już zabawić nie można nawet z pijawką co nas ssie, z kramarzem saksońskim? Czy my tylko mamy być święci?....

JAMES

Już o tem dość.... Wyruszymy jutro i wszystko musi się zmienić. Idę, a ty nakaz zbieranie się do spoczynku. Niech tylko ognisko zostanie niezagaszonym, Murphy i Andrews na straży. (Zwracając się w głąb) Jak już późno?

GŁOS OL OGNISKA

Północ!

JAMES

Spać już bracia! A niech nikt nie idzie za mną, nikt.... Łuczywa zagasić. Murphy i Andrews do ogniska!.... (Wychodzi).

JANEK (*siedzi na pieńku i nalewa sobie z flaszki*)

Twoje zdrowie, Dżemsie Hennessey!.... Niech ci się dobrze powiedzie (śmieje się i pije—Patryk!)

PATRYK

Co?

JANEK

Chodź sam.

PATRYK

A to ty chodź do mnie. Czyś został kapitanem? Wygrałeś to w chapance?

JANEK

Nie krzycz, trzeba nam się rozmówić. Dżems zhardział i zaczyna brać na kiel. O taki głupi, srebrny klekot zburezał mnie od rabusiów. Nakazał ręce trzymać przy sobie.... Nas to mogą obdzierać, a my to nie.... Nam nie wolno nie ruszyć.... Szwabka tak go nauczyła cnoty wielkiej.

PATRYK

Do niej poszedł?

JANEK

Tak. Ale wiesz jeszcze co? Jutro w nocy pojedziemy stąd precz.... na północ, w góry.... Francuz tak kazał....

PATRYK

A cóż nam Francuz? Pał licha Francu! Nie zginiemy i bez niej, gdy matka Boska nie będzie chciała. Ze swego kąta się ruszać, w góry ciągnąć, a nam to na co? Nasza rzecz tu na miejscu siedzieć i swoje robić: Szwabów trapić.... Słyszysz Murphy: mamy jutro na północ maszerować....

MURPHY

A to co? Kto to mówi?

JANEK

Kapitan Dżems....

MURPHY (*gniewnie*)

Co za kapitan? Dżems Hennessey, syn starego Dicka Hennessey z bud.... Komu to powiedział.

JANEK

Mnie. Rozkazywał iść spać, aby jutro w drogę ruszyć. W góry pojedziemy.... Francya tak chce; tu nie o nas idzie....

MURPHY

A o kogo?.... O Francu!.... My pojedziemy w góry a Szwaby tu zostaną na naszych śmieciach, w naszych gniazdach. Hola! tego mi nikt nie nakaze. Mam tu moją robotę i będę ją robić.... Czym ja dla tego Francuzów czekał, aby iść stąd precz.... Hol! hol.... Nie trzeba nam takiego mądrego wodza. Potrafimy sobie radzić sami. Ludzie wiedzą, że umiem to.... Już mi trzeba tylko jednej kulki, aby sprzątnąć ostatniego dudka, który w mojem gnieździe siedzi.... Nie.... w góry nie pójdę, nie ruszę się stąd krokiem. Tu moja ziemia, tu mój kąt....

JANEK

Śliczny mi kraj, gdzie człowiek dróg nie zna, ludzi nie widział nigdy, i z głoduby zdechł, nie trafiwszy do żadnej owczarni.... Niech sobie Francuzi tam gospodarują.

PATRYK

Ale Francuz daje pieniędzy....

MURPHY (*gwaltownie*)

To co? Czy, jak dyabeł, dusze za to kupił?.... Lepiej od Szwaba pieniądź kraść, niż go od Francuza z łaski dostawać. (Schyla się i trzęsie śpiącego podróżnika za ramię).

FRANCUZ (*zrywając się*)

Kto? Co? Mon Dieu....

MURPHY

My, mospanie, w żadne góry nie pojedziemy. My mamy swoje góry.... Francuzi niech z łaski na północ idą, albo u siebie w domu siedzą. My od nich nie nie chcemy....

FRANCUZ

Przyjaciele....

MURPHY

My nie żadni przyjaciele.

FRANCUZ

Gdzie dowódzca? Gdzie Dżems Hennessey?

JANEK

Poszedł Szwabkę całować.

PATRYK

My się stąd nie ruszamy. Czerwonym się tu wzięść nie damy, choćby nas głodem zamorzyli, wodą zaleli, dymem uwędzili, ale nie pojedziemy krokiem. Czy Francya chce, czy nie chce.

FRANCUZ (*którego groźny tłum otoczył*)

Francya, przyjaciele, Francya kocha Irlandyę, lud irlandzki, Białych chłopców. Francya wszystkich kocha i nie wie o górach. To Dżems Hennessey wie....

MURPHY

Tak, tak.... Zkądby tamci za morzem wiedzieli.... To Dżems umyślił, to jego sprawa. Nic z tego bratku! (Do Francuza) My nie chcemy takiego słuchać, który chce być mądrszym niż my wszyscy i cichaczem przeciw nam knuje. Nie chcemy Dżemsa!....

FRANCUZ

Przyjaciele!

JANEK

Wyberzemy innego....

PATRYK

Wyberzemy.... Niech Janek będzie.... Z Carrick-o-Gunnell się nie ruszamy, na północ nie pojedziemy.... Niech będzie wodzem Janek! Janek Czerwony!....

FRANCUZ (*klaniając się*)

Panie Janek Czerwony.... Francya szanuje lud, Francya szanuje wolę ludu.... (Drzwi otwierają się z łoskotem, James wpada niosąc prawie w pół omalą Hannę).

JAMES

Rygle zasunąć i cicho.... Sza.... cicho.... (Sadza Hannę na ławce).

HANNA (*zrywając się*)

Puść mnie! puść! Chcę do ojca, do domu!.... (Biegnie ku drzwiom).

JAMES (*zastępując*)

Więc pragniesz mnie porzucić! wydać! zdradzić!...

HANNA

Nie! przysłałam cię pożegnać, ale muszę wrócić.... muszę już wrócić.... Ojciec mnie szuka, o Dżemsie! puść mnie!.... puść prędzej!....

JAMES

Ojciec nie znajdzie cię, przejdzie dalej.... Proś o to Boga.... Niech przejdzie, spuści się wąwozem, minie dąb.... Proś Boga.... Módl się....

HANNA

Puść mnie!

JAMES (*z rozpaczą*)

Nie! Zabiję cię, a potem siebie. Ale nie będę zdrajcą, nie wydam swoich, nie puszcze cię....

JANEK (*ostro*)

Dżemsie Hennessey! po coś ją tu sprowadził? Po coś sprowadził.... Szwabkę....

JAMES

Cicho! (Kładzie palec na ustach i pokazuje drzwi) Cicho....

JANEK

Czy kamień nie spuszczonej, jama nie zawalona?

JAKUB (*z góry*)

Hanno! córko moja! Hanno! (Wzruszenie między góralami).

HANNA (*do Jamesa z rozpaczą*)

Słyszysz? woła mnie, dziecka swego. Nie zostanę tu, puść.... Ojciec! ojciec!

JANEK (*chwytając ją za ramiona*)

Cicho dziewczko!

JAKUB

Hanno! Wiem że tam jesteś! Hanno! Miałem ciebie jedną, Bóg cię skarże. Przeklnę cię, i matka przeklnie!... Żywi, umarli, prochy dziadowskie przeklną cię!... (Hanna zrywa się ku drzwiom, Janek łapie ją w pól i ciska w tył, James podbiega i chwyta. Górale chcą się rzucić na Hannę, James trzyma ją lewą ręką w pól, prawą zasłania).

JAKUB (*wyrażnie, bliżej*)

Jużem trafił, Hanno! Już wiem gdzie jesteś!... Wychodził wychodził!... (Janek szybko odmyka drzwi i strzela. James puszcza Hannę, która pada, i biegnie tam. Górale tłoczą się za nim).

HANNA (*podrywając się z ziemi*)

Zabili go! Zabiłam go! ojciec! ojciec! (Chce rozpętać zgromadzonych u drzwi, gdy nagle James rozpięra ich i wraca).

JAMES

Nie on padł Hanno! nie on... inny... Adam... (Zwracając się do górali) Kamień już zawalony... już znowu bezpiecznie... Ach!... (Ociera sobie czoło, rozpina kaftan).

FRANCUZ (*uroczyście*)

Dzemsie Hennessey...

JAMES (*przerzuwając mu*)

A teraz przedź w drogę... przedź... Zbierać broń, rzeczy... Nie można czekać jutro — świta... Przedź w drogę!

MURPHY

Nie prawda... Nie trzeba uciekać... Wystrzelac Szwabów i koniec. Przyjdą niedługo Francuzi...

JAMES

Kto to mówi? Kto tu rozkazuje?

FRANCUZ

Przyjacielu, dowództwo zostało ci odjęte... Zdradziłeś twój lud, wydałeś twierdzę...

JAMES

Ja zdradziłem mój lud, wydałem twierdzę? Wszak ciągniemy na północ, w góry... To był plan ułożony...

GŁOS Z TŁUMU

Nie! nie! tyś zdradził, tyś wydał. Zdradziłeś nas dla Szwabki, dla miłośnicy twojej...

JAMES (*stoi błąd i ogląda się w okolo*)

Czy tak myślicie, czy taki sąd wasz o mnie. Nikt nie wystąpi za mną, nikt nie stanie po stronie mojej!...

HANNA (*rzuca się ku niemu*)

Ja twoja żona, ja która porzucę ojca, matkę i pójde za tobą.

Zasłona spada.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stary mąż, komedia w 4 aktach (7 obrazach) J. Korzeniowskiego. — **Młody mąż**, komedia w 3 aktach J. Korzeniowskiego.

Na 35 letni swój jubileusz, obrał sobie p. Michał Chomiński, zasłużony i zdolny artysta, jedną ze sztuk J. Korzeniowskiego, o ile nam wiadomo, nie graną dotąd wcale na scenie warszawskiej.

Pisaliśmy niejednokrotnie silnie nalegając, iżby nie zapomniano o jednym z najpłodniejszych pisarzy dramatycznych, liczącym się zarazem do koryfeu-

szów naszej literatury w ogóle. Prócz „Panny męzatką“ i „Żydów“ nie widzieliśmy od lat kilku ani jednej komedii Korzeniowskiego na scenie naszej. Zatem szczerza podzięką należy się artyście, który się nie odwołał do utworów obcych ale do swoich.

Czem jest Korzeniowski dla nas, jakie położył zasługi, jakie stanowisko zajął w naszej literaturze, o tem wiemy mniej więcej wszyscy, chociaż wyczerpującego studium o tym pisarzu, dotąd nie zdarzyło się nam napotkać. Mówiąc jednak bezstronnie i opierając się na zasadach wymotywowanych, o pojedynczych jego sztukach, sądzimy że nie ściągamy na siebie zarzutu niestosownej lub uprzedzonej niesprawiedliwości, — jeżeli bowiem kiedy, to teraz właśnie nastąpiła chwila, w której nie unosząc się żadną namietnością, ale bacząc jedynie na cel i doniosłość społeczną, jako i na wartość utworu literacką, pomówić bez krepowania się, wolno i należy.

Mniej przychylny sąd, nie ubliży bynajmniej zmarłemu mistrzowi, bo jak w każdym skarbie znajdują się najdroższe brylanty i ladażakie kamyki, tak i w skarbu dramatycznym Korzeniowskiego, natrafic można na jedne i na drugie. Autorowi „Karpaczych górali“ i „Andrzeja Batorego“, wolno było napisać sztuki, które stopniały odrazu jak śnieg na słońcu, ale jeżeli tak się stało a nie inaczej, niechże nam wolno będzie spytać dla czego?

Dla czego istnieją utwory literackie nie pierwszorzędne nawet, które i dziś jeszcze po latach kilkudziesięciu, przeczytać można z równym smakiem, z równą korzyścią i z głęboką uwagą? Z dwóch przyczyn, bo albo forma artystyczna chroni je od zraty, albo treść ogólnopubliczna, nigdy się nie starzejąca, lub kwestya czy zasada społeczna, chroni je od pleśni. Bez tych dwóch niezbędnych warunków, utwór z przed laty dwudziestu, wydać się musi przestarzałym, niezrozumiałym, nudnym, oddziaływającym na czytelnika obojętnie.

Otóż Korzeniowski był mistrzem pod względem artyzmu tam gdzie chciał, w powieściach zwłaszcza, lecz nie zawsze w komedjach.

W wielu bowiem jego komedjach, charaktery zaledwo naszkicowane, a co gorzej, pochwycone z jednej tylko strony, czasem tylko *en trois quarts*, — mówiące językiem arcy-prozaicznym, luźnym, prawie niedbałym, a nade wszystko nie płynącym z prawdziwego uczucia, z duszy ogrzanej zapałem. Pojedynczymi rysami nakreślonymi znakomicie, tak jak to umiał Korzeniowski, ratowały one możebność swego bytu, ale ta możebność bytu, efemeryczną wnet się okazała w obec nowego pokolenia, nowych potrzeb społecznych i nowych korzystnie rozszerzonych poglądów na człowieka i jego stosunek do świata, kraju i ludzi.

Nadto, Korzeniowski jest eklektykiem w swych poglądach moralnych i społecznych. Moralność jego, motywowana na jego sposób, zasada społeczna wszczepiona jako tendencyja powieści lub sztuki, nie koniecznie jest moralnością lub zasadą społeczną ogółu. Zdawałoby się nawet czasem, że autor przekracza granicę pozwoleń każdemu autorowi tendencyj. Wolno mieć zdanie osobiste jakie się komu podoba, ale kiedy się z niego robi publicznie niejako wyznanie wiary, trzeba się dobrze obrachować z gruntem jaki się ma pod stopami, z otoczeniem i z przyszłością. Wolno np. każdemu człowiekowi mieć przekonanie, iż nie godzi się kochać szlachciciowi w księżniczce, ale nie wolno autorowi przez usta komornika Stawoswieckiego w *Żydach*, takie wypowiadać słowa: „Twoi pradiadawie byli bohaterami narodu... I jabyś pozwolił aby moja krew zmieszala się z twoją? aby moje nieznane imię jak *kir żalobny*, pokrywało świetność twoją?“ Czyż to ma być idea postępowca? gdzie tu pole dla zasługi, talentu, które o własnych siłach dobijać się zwykły pierwszego miejsca w społeczeństwie. Toż angielska arystokracja tem do dziś dnia stoi niewzruszona, że przypuszcza do swego grona parwenusów, jeśli nimi są tylko ludzie wielkich zasług, pracy i talentu; — nie boi się ona, iżby przybył nowy wehódzący z nią w związki rodzinne, „pokrył kirem żaloby świetność jej nazwiska“.

Podajemy jeden tylko przykład, a moglibyśmy, niekrepowani zakresem recenzji, przytoczyć ich wiele. Lekarstwa te, jakie autor podaje szczerze we wszystkich prawie swych utworach, nie są zaczerpane w głębokiej idei humanitarnej, ale w wyjątkowych, chwilowo kursujących usposobie-

niach; — są one paliatywami niezndawalnijacemi malkontentów, są one rozwiązaniem bardzo niedokładnym i jednostronnem, wielu zagadek społecznych, które pisarz tej powagi i tego talentu co Korzeniowski, inaczej powinien był rozwiązywać.

Jestto jedna z głównych przyczyn, którą objaśnić można przestarzałość niektórych jego tak powieści jak i komedii. Przeprowadzona w nich tendencyja może się dziś już liczyć do historii nie powiemy nawet obyczajów, ale chwilowo panujących opinii czy usposobień.

Racya bytu „Starego męża“ jest również wyjątkowa jakaś moralność, a raczej fakt wyjątkowy, bardzo wyjątkowy, obciążony pozorem moralności. Stary mąż p. Janikowski ożeniwszy się przez wdzięczność z córką przyjaciela, młodzieńcą Józją, jest dla niej najlepší, a poświęcającym się tak dalece ojcem, że bez jej wiedzy wyszukuje młodego porucznika od ułanów, tegoż co on nazwiska; sprowadza go do swego domu, zapoznaje z żoną, pozwala się kochać swobodnie, zwolna przygotowując ich do połączenia się ślubem, naturalnie po dopełnieniu rozvodu o który się sam stara.

Podobnego rodzaju poświęcenie, nie jest ani budującym, ani naturalnem. Przeciwnie — jeżeli istotnie jak wieść niesie, fakt taki zdarzył się w życiu, to świadczy on co najwięcej za... dobroduszością a może i brakiem godności takiego starego męża, a nie za jego wyższością nad innych. Fakt taki należy do anegdot, do dykteryjek, ale nie do tematu komedii obyczajowej. Wolimy stokroć Wojewodę w Mazepie, broniącego wściekle niemal swego honoru małżeńskiego, aniżeli męża ułatwiającego żonie własnej, miłosne schadzki. Jest coś w tem, co obraża nasze uczucia i pojęcia. Zaiste źle zrobił ów starzec że inaczej nie wypłacił się za doznane dobrodziejstwa przyjacielowi, ale skoro się raz ożenił, powinien był w najlepszym razie, rozwieść się... bez ułatwiania miłostek młodym ułanowi i niewinnej swej żonie.

A potem jestto nienaturalnem psychicznie czy jak kto chce fizyologicznie, — bo o ile znamy starych mężów, ci przez zazdrość, bardziej spótegowaną w wieku podeszłym aniżeli w młodym, a wreszcie przez wstyd okazania się śmiesznym, przez ambicyą wreszcie, niezdolni byłiby do takiego postępu. Jeżeli się znalazł taki wyjątkowy filantrop, — toć go żadną miarą za typ szlachetności uważać nie można, lecz raczej za typ dziwactwa.

Zgodziwszy się jednak na myśl zasadniczą, co nam z ciężkością przychodzi — trudno pogodzić się na chwilę choćby, z panem porucznikiem od ułanów, młodym Janikowskim.

Mówi jakby go kto sznurkiem pociągał, ani mniej ani więcej, tylko tyle ile potrzeba ażeby się okazać cnotliwym i sentymentalnym; zapala, owego wybuchu powziętego uczucia dla kobiety, która jest żoną jego dobroczyńcy, walki wreszcie jakichś uczuć, ani odrobiny; — parę wykrzykników jak np. „Wierc ja tylko będę nieszczęśliwym — ja sam tylko *umrę!*“ — i na tem koniec. Jak na bohatera, jak wreszcie na porucznika od ułanów, to za mało. Jeżeli po tych biernych słowach, sądzi o jego charakterze stary p. Janikowski, to znowu daje dowód pewnego dziwactwa, tak jak największy tegoż dał dowód, w sprowadzeniu do swego domu całkiem obcego człowieka, mającego tylko podobne jemu nazwisko.

Agnieszka, stara panna, narysowana karykaturalnie, według mody panującej przed trzydziestu laty robienia ze starych panien śmiesznych potworów, bawi przecież rzeczywistą komicznością niektórych sytuacji, przez nią samą stworzonych. Wachmistrz, sługa porucznika, postać szablonowa, strasznie już zużyta, a niemogąca w niczem iść w porównanie z typami wojskowymi Fredry np. w „Damach i huzarach“.

Jedna Józja, — niewiniątko szlachetne, kopiowana z natury, i przypominająca doskonale kreacje innych komedii Korzeniowskiego.

„Stary mąż“ wszakże, wychodząc ze stanowiska autora, nie jest wcale postacią ani dramatyczną, ani komiczną, jaką bywa rzeczywistość nieraz w życiu, gdy go widzimy obok towarzyszy młodej. Większą śmiesznością, chciał Korzeniowski napiętnować starą żonę w komedii „Młody mąż“.

Na szczęście tu niemyśmy potrzeby obawiać się ozamianę; tu młody mąż jakkolwiek ma żonę zazdrosną

i wyprawiając mu małe sceny małżeńskie, nie myśli sprowadzać odpowiedniego jej wiekowi człowieka, i ułatwiać żonie swej, ślub powtórny. Owszem—tu autor wypowiada sens moralny niewielkiej doniosłości, w tych słowach, przez usta lokaja Marcina:

„Myślałem proszę pana że w małżeńskim stanie Najlepiej się udaje zgoda i kochanie.
Gdy mąż starszy od żony i wyższy od żony—
Ale znów proszę pana, widzę z drugiej strony,
Że jeżeli na wywrót pan Bóg ich skojarzy
To jeszcze to pół biedy, gdy ich tak obdarzy
Że i jedno i drugie dobre i pocziwe
Więc i takie małżeństwo, musi być szczęśliwe“....

Ale zawsze, dodaje ktoś inny:
ryzyko to wielkie
Gdy kobieta już w aktach serca nie zwycięża
I zwiędła dłoń wyciąga do młodego męża“.

Moralność zdawkowa, lecz mniejsza o nią, gdyby ją usprawiedliwiała żywa akcja, silna komiczność, i szczerza jakaś zasada. Tego i w tej komedii dopatrzeć się trudno, tembardziej że intryga słaba, powtarzana do syta w komedjach francuzkich, nie ożywia całości, niczem oryginalnem.

Poprostu zazdrosną żonę chce mąż ukarać, a raczej poprawić. Udaje więc, że odbiera list od innej kobiety i wybiera się na maskaradę. Żona chcąc mieć dowód, wybiera się równie pokryjomu na maskaradę w towarzystwie służącej, o czem mąż wie doskonale, bo na tem opiera swój podstęp. Na maskaradzie bowiem, pali jej gorzkie i niebardzo delikatne nauki, chcąc jej dopiero w domu odkryć całą prawdę. Ale zazdrosna zrozumiała podstęp, i łagodnością zawstydzila męża.

To i wszystko.

Marcin lokaj wprawdzie, inaczej patrzy się na kwestyę małżeństwa, powiada bowiem:

„Jeszcze się żaden sługa nie rozwiódł dla zdrady;
A jeżeli czasem takie bywają przykłady
Że żona na łbie sługi rogi pozapłata,
To ją weźmie za rękę, grzbiet dobrze wyłata
I znów szła i zgoda; dom idzie jak z płatką,
Wraca żona do męża, a do dzieci matka“.

Winszujemy Marciniowi, ale mu nie zazdrościmy.

W epoce, o której Korzeniowski pisał dla teatru, był on prawie jedynym, który utworami swemi zasiliał podupadłą, a raczej nie wzrosłą jeszcze do stanu kwitnącego, scenę. Fredro bowiem przestał już pisać, a sztuk jego jeszcze wówczas nieocenywanych jak należy, nie grano z takim zapałem jak dzisiaj. Młodych pisarzy dramatycznych nie było prawie wcale, a ci co pisali, ograniczali działalność swą dramatyczną dla różnych przyczyn, do wydawania dzieł swych w księżce. Był on więc jedynym, potężną swoją twórczością zasilającym wszystkie sceny polskie. Pracował też gorączkowo, pośpiesznie, nadto pośpiesznie, bo czasem rzecz zaledwo naszkicowaną, oddawał na deskę teatralną. Nie dziw przeto, że nie wszędzie znać „łwie pazury“, że nawet te utwory których temat nie nadaje się już do dzisiejszych stosunków, samą choćby wyborną formą nie zdolne są ocalić się od zatury.

My wreszcie, dzieci chwili obecnej, nerwowie nad miarę i nad miarę ciekawi rozwiązania zagadnień społecznych, nie zadawaliśmy się drobnym jakimś obrazkiem obyczajowym, lub chłodno odbijającym niedawną przeszłość zwierciadłem. Potrzebujemy silniejszych, gorętszych wrażeń, — dramatyczniejszego, głębszego i szerszego malowania naszych uczuć, głębszego, prawdziwszego i ogólniejszego odzworowania naszych stosunków społecznych; — potrzebujemy myśli śmiało wypowiedzianej, idei istotnie postępowej, ogarniającej wszystkie warstwy społeczne, a nie protegującej jednych ze szkoda drugich.

Lecz kiedy będziemy chcieli spokojnem okiem popatrzeć w przeszłość, przenieść się duchem w ciche i nienamietne ustronie, i pogawędzić z tem co tak niedawno istniało, a przecież już nie istnieje; — kiedy będziemy chcieli pochwiliwić się jednym z koryfeuszów naszej literatury, — wtedy z wdzięcznością zawsze i z szacunkiem, zwrócimy się do Józefa Korzeniowskiego.

Biorąc zaś rzeczy praktycznie, radzimy tylko reżyserji czynić oględniejszy wybór w licznych komedjach i dramatach Korzeniowskiego, a znajdując się między nimi takie, na które nigdy nikt nie użyje tego smutnego wyrażenia: „przedawnione“.

* * *

Wracając do gry artystów w „Starym mężu“ pochwalić trzeba bezwarunkowo p. Królikowskiego w roli tytułowej, jubilata p. Chomińskiego w roli Mateusza wachmistrza, i pannę Popiel w roli Józji, młodej żony. Panna Popiel zwłaszcza, rozwinęła spory zarób dramatyczności, której nawet nie przypuszczaliśmy w tej, jak się nam zdawało wyłącznie w komedji, utalentowanej artystce.

Panna Micińska w roli Agnieszki starej panny, umiała nieraz trafić na szczery humor, gdyby tylko nie przesadzała karykaturą w roli i tak aż nadto karykaturalnej.

P. Wolski, młody zdolny artysta, koniecznie powinien więcej pracować nad sobą. Nie do darowania jest wybuch jego srodze tragiczny, tam gdzie się należało lekko wykrzyknąć, ze wzruszeniem tylko silniejszym. Jeżeli trudno bywa odczuć sytuację niezbyt następczącą się do wybuchu prawdziwego uczucia, to w takim razie trzeba go zastąpić grą umiejętną i obmyśloną. Inaczej od czegoż byłaby sztuka sceniczna?

Edward Lubowski.

ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Wkrótce zatrzymaliśmy się prawie u samego brzegu, gdzieśmy znaleźli większość myśliwców oprowadzających zmęczone swe, pianą pokryte konie. Pomimo tego, że koń kirgizki jest nadzwyczajnie silnym i niezmordowanym, jednakże trudno mu walczyć ze swoim dzikim krewniakiem, i cały tabun skrył się w górach, daleko w tyle pozostał za sobą ścigających go myśliwców. Pozostało nam tylko teraz odpocząć i pozbierać rozrzuconą po całej drodze zdobycz i do tegośmy się właśnie zabrali.

Cała korzyść z odbytego polowania streszczała się z dziewięciu zabitych i ciężko pokaleczonych stepowców, oraz w czterech żywo schwytanych i dwóch żrebakach. Straty zaś poniesione przez nas rozciągały się do jednego zabitego (jak się później pokazało), Kirgiza i z okaleczonego konia, a ponieważ życie ludzkie w tych stronach nader nisko jest cenionem, przeto rezultat dnia okazał się jeszcze wielce zyskownym.

Było już zupełnie ciemno, gdyśmy wrócili do aulu.

Około 10 godziny wieczorem podano na kolację małego żrebaka stepowego usmażonego w baranim tłuszczu. Mięso to było bardzo smaczne, wprawdzie nie można porównać go pod względem miękkości i delikatności smaku z mięsem dobrze wykarmionego domowego żrebaka; lecz za to posiadało ono swój własny szczególny zapach i smak przypominający w części pieczeń z dzikiej kozy. Wygodniały do najwyższego stopnia spożywałem tę kolację kirgizką z wielkim apetytem.

Po kolacyi przed kibitką Ablaja-bija zebrała się prawie cała ludność aulu; przyszli muzykanci z bandurkami, bębnami i kotłami obciążenymi baranym pęcherzem, po którym uderzali drewnianymi pałeczkami. Znaleźli się i tancerze, i zaczął się najprzód powolny, monotomny, a potem coraz żywiej i bardziej ożywający się taniec.

Zresztą przygotowywało się widowisko daleko bardziej interesujące, aniżeli skakanie tancerzy. Tłum rozstąpił się i przepuścił wysokiego chociaż silnie już wiekiem pochylonego ku ziemi starca, z rzadką, długą brodą, już nawet nie siwą, lecz popiółą zupełnie od starości. Wielbłądzi szlafrok miał zarzucony na suche muskularne ciało, zczerniałe jak mumia. Starzec był niewidomym, z pod gęstych białych brwi ciemniały dwie głębokie jamy z spuszczonej powiekami. Długi garbaty nos zwieszał się nad bezzębnymi ustami. Wysokie czoło zaś było poorane niezliczonymi zmarszczkami i bruzdami.

Starzec powoli opuścił się na podeślaną jako siedzenie dla niego skórę barania, wziął długą bandurkę i zaczął przebieierać po strunach kościstymi palcami.

Wszyscy obecni z wielkiem poszanowaniem witali starca i zwracali się do niego. Milczenie zapanało do koła, słychać było tylko ciche brzęczenie strun i głuchy szelest ciskającej się coraz bliżej i tłumniej gromady.

Był to znany wszystkim okolicznym koczownikom pieśniarz improwizator Hassan, o którym słyszałem wiele ciekawych opowieści poprzednio i którego udało mi się na koniec zobaczyć zbliżka i wysłuchać jego improwizacji.

Chciwie wsłuchiwałem się w tego stepowego Homera usiłując wnikać dobrze w treść i myśl jego pieśni i wielce żałowałem, że nie znał tak dobrze języka miejscowego, ażeby mógł dokładnie spisać wszystko co wysłuchałem.

Śpiewał o znanym tutejszym agitatorze, słynnym między 1830—1840 r. Remisarym o jego wojnach z Rosyanami i ucieczce; o nieszczęśliwej miłości, zdradzie przyjaciół i wreszcie o bohaterskiej jego śmierci.

Ablaj-bij siedzący przy mnie szepnął mi do ucha: „Czy wiesz pan że ten pieśniarz był nieodstępny towarzyszem Remisarego, pomimo iż wtedy już był sędziwym starcem“.

Słuchacze milcząc, stali i siedzieli w około, kiwając głowami wedle taktu pieśni i nie jedno ciężkie westchnienie uleciało w powietrze z piersi zlewając się z monotonnym śpiewem starca.

W ogólności u Kirgizów kobiety bynajmniej nie cierpią takiego niewolniczego poniżenia i pogńębienia jak to ma miejsce u innych narodów wyznających wiarę Mahometa. Jeden z najbardziej uciążliwych zwyczajów muzułmańskich polegający na tem mianowicie, ażeby kobiety chodziły ciągle z zakrytem obliczem i nie odwagały się pokazywać nikomu, jednemu tylko mężowi, tutaj wcale nie istnieje.

Kobieta, szczególnie zaś nie mająca męża, może dowolnie zawiązywać stosunki towarzyskie, posiada swobodę w życiu, jakiej nie zna kobieta w Turcyi. Niewiasty w tych stronach przyjmują bezpośredni udział we wszystkich publicznych uroczystościach i obrzędach, a w niektórych nawet przypadają im najważniejsze stanowiska, co widocznie i jasno uwydatnia się w ich charakterze. W aule Kirgizów kobieta nie ucieka przy zbliżeniu się mężczyzny, lecz śmiało podchodzi, bez obawy rozmawia, głośno i wesoło się śmieje, ukazując jednocześnie oslepiającą białosć, i równe, jak pod linią, zęby.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: O tem i owem, przez Anastazję Dzieduszycką. — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — **Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Kolonista w Irlandyi**, dramat, (dalszy ciąg), przez Pawła Heise. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Zarysy Azji środkowej**, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.